

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Wątki poboczne

Maciej Wu

Maciej Wu
Wątki poboczne

pl.anarchistlibraries.net

Kiedy w 1827 roku Josiah Warren wraz z rodziną opuszcza owenowską komunę New Harmony, zaczyna się tworzyć narracja, która od tego momentu opisuje nie tylko podkreślanie indywidualnej suwerenności każdego człowieka, ale i otwarcie wyrażane rozzczarowanie kolektywizmem. To właśnie rozzczarowanie, po dwuletniej próbie życia w społeczności żyjącej według wizji Roberta Owena, która miała być idealna, mówi być może najwięcej o tym, czym zdaje się być anarchoindywidualizm. Jednak próba opisania tego nurtu anarchizmu, którym nie podąża się kolektywnie, zazwyczaj kończy się przedstawieniem kilku kart z odległej już historii, wspomnieniem paru szacownych nazwisk, kilkanaście polemicznymi uwagami i krótkim ziewnięciem z nudy. Oczywiście wypada przytoczyć te osoby, gdyż bez tego ciężko w ogóle sportretować ten wycinek buntowniczej ideologii, bo jakby nie było, jest to solidnie spisany fundament. Lysander Spooner, Benjamin Tucker i Henry David Thoreau zza oceanu, czy Max Stirner i Pierre-Joseph Proudhon w Europie – to nazwiska, które zazwyczaj się pojawiają, gdy przywołuje się ten odłam anarchizmu. Dziś podpieranie się tylko i wyłącznie tym kanonem jest wsteczne, niemal jak korzystanie z przewodników turystycznych we własnym mieście, gdy możemy i powinniśmy szukać nowych ścieżek, skręcać w miejsca nieznane lub odkrywać na nowo te, które wydały nam się kiedyś zbyt banalne. Wątki poboczne idei to bardzo intrygująca przestrzeń, którą warto penetrować, a tutaj w sposób nieco chaotyczny staram się wspomnieć te ścieżki, które krzyżują się według mojej wizji z anarchoindywidualizmem.

W procesie tworzenia historii idei określanej jako wolnościowa, te amerykańskie nazwiska, przedstawione wyżej jako protoplaści indywidualizmu anarchistycznego, najczęściej bywają przywoływane przez piewców wszelkich odmian libertarianizmu, jako korzenie „ich” dorobku. Oczywiście u wielu rodzi to pewien dysonans, gdyż anarchizm wolnościowy, czy też anarchokapitalizm, są tymi częściami ideologii, które u znacznej ilości osób przyznających się do anarchizmu wywołują odruch co najmniej polemiczny, jeżeli nie obronny. Umówmy się więc od razu, że anarchizm „głównego nurtu” i ten wolnorynkowy mówią najzwyczajniej o czymś zupełnie innym, ale jednak nazwiska ojców anarchoindywidualizmu godzą je w wielu kwestiach. Problemem jest także to, że libertarianie aż do bólu kodyfikują wszelkie zasady, tworzą kodeksy, biblie zachowań i praw, „konstytucje wolności”, „etyki wolności”, niewiele zostawiając tej indywidualnej radości dysharmonii, a w tym swoim matematycznym niemal uporządkowaniu zbiorów nie są wcale mniej nudni, niż ci dziewiętnastowieczni utopiści, od których przecież Josiah Warren uciekł. Poniekąd więc anarchizm indywidualistyczny uległ ide-

chistycznego) odkrywał Foucault, z czego swobodnie można czerpać konstruując „anarchizm siebie”, to ogromna praca wykonana w kierunku odkrywania historii narzędzi represji, mechanizmów ujarzmiania, ale i zdobywania wiedzy o sobie, także w kontekście oporu przeciw „urządzaniu”. To termin, który zależnie od tłumaczenia i interpretacji bywa nazywany też „rządomyślnością” i jest częścią tematu, którym ten francuski myśliciel zajmował się bardzo aktywnie, a mianowicie biopolityki, formy władzy-wiedzy nad życiem, systemów nadzoru ciała/jednostki - Foucault zwraca uwagę na to, iż ewolucja władzy spowodowała, że koncentruje się ona zdecydowanie bardziej na populacji, na jednostce, niż na terytorium, jak wcześniej. Wiele też pisze o „zarządzaniu sobą”, używając też takiego określenia w stosunku do jednostki w kontekście ekonomicznym, jak „przedsiębiorca samego siebie”. W tym kontekście odkrywania zagrożeń i nacisków poza-politycznych, które dotyczą każdej jednostki, twórczość M. Foucault, choć funkcjonuje poza nurtami anarchizmu, jest bardzo inspirująca, gdy próbujemy prześledzić relacje jednostka -władza, bez narzucania „programów naprawczych”, dostępnych alternatyw czy wizji oporu.

Być może jednak warto się przyjrzeć obszarom idei, który są poza jej głównym nurtem, poza deklaracjami o przynależności czy nawet samą deklaracją wiary - to szuware, wysepki i zatoki anarchizmu, to być może cała masa ludzi, którzy są **indywidualnymi anarchistami**, którym nie po drodze z federacjami, pismami, kolektywami, hermetycznymi środowiskami, ulicznymi obnawieniami czy wirtualnymi, internetowymi chmurami idei. Dziś możemy dodać także element negatywnej mitologii, moment przekształcenia swobodnej, nieformalnej konstelacji grup i ludzi deklarujących swój anarchizm w Federację Anarchistyczną, strukturę opartą na zjazdach, biuletynach, pismach, akcjach, sekcjach i liderach. Nie da się tych wszystkich ludzi przyciągnąć do jakiegokolwiek aktywizmu, ale w tych jednostkowych, indywidualnych wyborach równie ważne oprócz tego „co robić”, jest także to „czego nie robić”, a więc wszelkie osobiste wybory, bojkoty, możliwe formy „odmowy współudziału”. A ci ludzie, których anarchizm co najmniej intryguje, lub czują awersję do władzy w różnych postaciach, po prostu są obok nas.

owemu zawłaszczeniu i ciężko już odkręcić to, że albo profiluje go dziadek Stirner, albo amerykańscy proto-libertarianie.

Jak to zwykle bywa, wiele dyskusji nawiązujących do libertarianizmu, odbywa się na irytującej płaszczyźnie wymiany epitetów, tak i w tym przypadku stosunek do twórczości Rothbarda i bliskich mu publicystów bywa mało ujmujący. Problem z męceniem bogatej twórczości autora „Manifestu libertariańskiego” jest podobny jak z wgłębianiem się w „Kapiłał” Marksa przez jego oponentów (osobiście poznałem zaledwie jedną osobę, która przyznała się do przeczytania tej cegły), czyli najzwyczajniej niewielu anarchistów poświęciło lekturze rothbardowskich wynurzeń cenny czas, jednak to on właśnie wykorzystuje i rozwija tę najbardziej pierwotną definicję „samoposiadania”, prawa do samego siebie. W całej tej debacie nie da się uciec od tego niesamowicie ważnego pytania, które być może zadał sobie J. Warren zostawiając za swoimi plecami słabo realizującą się kolektywistyczną utopię: „Jak bardzo jestem swoim właścicielem?” Trzeba przyznać, że akurat ta bardzo istotna kwestia, problem samoposiadania (self-ownership), została dogłębnie przeanalizowana właśnie przez myślicieli libertariańskich i nie da się pominąć tego, gdy cokolwiek próbuje się powiedzieć o anarchoindywidualizmie, który z natury swej ten temat zawiera. To Benjamin Tucker napisał, że „doskonały socjalizm jest możliwy tylko pod warunkiem najdoskonalszego indywidualizmu”, Ludwig von Mises napisał z kolei, że „Wszelkie działania są działaniami jednostek”, a Murray N. Rothbard „Tylko jednostki istnieją, myślą, czują, wybierają i działają”, a „społeczeństwo to wszyscy oprócz ciebie”. Zapełnili setki stron, razem z innymi twórcami tej ideologii, nie pozostawiając wiele do dopisania do tego kanonu myśli wolnościowej. Wystarczy sięgnąć po ich pisma, o wiele wartościowsze niż dzisiejsze internetowe wylewy postkorwinistów. Ale z samego pisania niewiele jednak wynika.

Jak opowiedzieć o tak zindywidualizowanym nurcie, jak napisać jego historię, gdy wyszukiwarka podpowiada tylko kilka oklepanych nazwisk? Poniżej o tym właśnie wspominał Paul Rodin, pisząc książkę o micie tricksterskim u Indian północnoamerykańskich, że ogromną rolę w przekazywaniu opowieści pełni opowiadacz, narrator, a w przypadku tak ulotnej ideologii nie pojawiał się nikt, kto mógłby opisać sieć niewidzialnych już dziś powiązań pomiędzy jednostkami o podobnym lub choć zbieżnym zainteresowaniu indywidualnością i walką z państwem na przestrzeni tych dwóch, a może i dwudziestu kilku wieków. Bo może warto próbować sięgać dalej, tak jak przywoływani już libertarianie, którzy już w starożytnej Grecji odnajdują myślicieli tworzących załączki teorii ekonomii liberalnej? A przy okazji

twierdzą, że pierwszymi libertarianami, godnymi tego miana, byli angielscy siedemnastowieczni lewellerzy... Może to jest to, czego brakuje w tym mało romantycznym odłamie indywidualnej postawy wolnościowej - mitów i historii wygrzebanej spod głębokiej ziemi? To nurt, który właściwie nie posiada swojej mitologii, nie ma w nim Wiosny Ludów i barykad Bakunina, Jasnej Polany Tolstoja, Kronsztadu i Machnowszczyzny, mas syndykalistów, rewolucji hiszpańskiej i Durrutiego, Maja '68, zapatystów, greckich insurekcyjnych i Rojavy. Nawet libertarianie mają swój mit Herbatki Bostońskiej i „prawa naturalnego”. W przypadku Thoreau, jego jeden dzień spędzony w więzieniu za odmowę zapłacenia podatku nie stanowi zbyt mocnego fundamentu do mitu założycielskiego dla anarchoindywidualizmu.

Jak się buduje taki mit dobrze obrazuje praktyczny przykład z naszego polskiego podwórka, gdy w latach osiemdziesiątych działacze Ruchu „Wolność i Pokój” próbowali, a nawet im się to udało, z wątpliwym wykuć postać niezłomną. Wykreowali bohatera, który wolął umrzeć, niż zabijać bezbronnych ludzi, któremu warto zbudować pacyfistyczną legendę, a cała ta historia złożona była zaledwie z kilku faktów i grobu pod Tarnowem, do którego zresztą w latach osiemdziesiątych „pielgrzymowali” WiP-owcy, za co byli wówczas represjonowani. Taki był i jest do dzisiaj, „mit nieodzowny”, jak sami o tym piszą uczestnicy WiP, mit Otto Schimka, niemal anonimowego żołnierza Wehrmachtu rozstrzelanego za odmowę zabijania bezbronnej polskiej ludności cywilnej. „Dzisiaj dopisujemy ci legendę”, „Ludzie (...) potrzebują tradycji, symboli, ethosu.” - tak pisał Andrzej Misk w piśmie „A Cappella” #2 w 1986 roku i mam wrażenie, że się udało, do dziś poświęcono mu bowiem wiele artykułów i nakręcono kilka dokumentów.

Jednym z ciekawszych wydawnictw, po które warto sięgnąć z kilku powodów, jest skromna książeczka Hakim Bey'a „Tymczasowa Strefa Autonomiczna”, rozkładana wielokrotnie na czynniki pierwsze i analizowana, a następnie potrząsana i często odkładana z komentarzami brzmiącymi jak „pfff...”. Może i faktycznie jej merytoryczna, ideologiczna i analityczna zawartość jest średnia, ciężko powoływać się na nią przy jakiegokolwiek rewolucyjnej dyskusji, czerpanie z niej inspiracji do działania i oporu jest raczej trudne, ale tak się dzieje wtedy, gdy traktuje się ją poważnie i dosłownie. Hakim Bey budując bowiem opowieść o TSA próbował raczej (według mnie) zbudować alternatywną mitologię ze skrawków historii, przywoływał niewiele znaczące epizody, do których dopisywał swoje wizje, którym dolewał kolorów, by były barwniejsze, ale za to właśnie cenię tę niewielką broszurę. To kilka historyjek poza główną opowieścią o znikaniu, o możliwościach sieci i tymczasowych

bastionach wolności, ale to one właśnie są dla mnie jej fundamentem, mitologią bez bohaterów. Opowiadka bez puenty o osadnikach, którzy opuścili społeczność kolonizatorów i zniknęli wśród tubylców zostawiając jedynie enigmatyczną informację „Poszliśmy do Croatan”, mogłaby być wręcz mitem pierwszym, opowieścią o rozgoryczeniu, rozczarowaniu i odmowie życia w Nowym Wspaniałym Świecie i powrotem do świata pierwotnego. Henry David Thoreau był dopiero któryś w kolejności, wcześniej byli jeszcze piraci, a tuż przed nim był Josiah Warren i jego rozczarowanie kolejną, przeidealizowaną wersją utopijnego NWŚ. Może będzie to pewnym nadużyciem, ale polską wersją tego odejścia było zniknięcie ze zindustrializowanego świata i z merkantylnego społeczeństwa Wojciecha „Jacoba” Jankowskiego, działacza WiP i RSA, uwięzionego także w latach 80. na rok za odmowę służby wojskowej. Siedem lat jego życia poza światem w tym odosobnieniu, po których zostały choćby ślady w postaci książki „Dumki Jacoba”, tekstów w piśmie „Mać Pariadka” czy fragmentów programu telewizyjnego „Alternativi”.

Jednym z nieoczywistych wątków, który mógłby być inspiracją dla anarchoindywidualistycznej mitologii, jest archetyp trickstera, który jest tak bogaty w źródła ze wszystkich kierunków świata, że nie wiadomo po który sięgnąć. Kim był w ogóle trickster? To „obszerny, agresywny, nieuznający reguł, samolubny heros kulturowy, którego działania (zarówno pozytywne, jak i szkodliwe) wynikają z czystego egoizmu”, to pół-bóstwo, które robi wiele rzeczy na przekór bogom, utrudnia życie ludziom, ale także im pomaga, jak czynił to na przykład Prometeusz. W opowieściach Indian północno-amerykańskich trickster nazywa

wszystkie zwierzęta młodszymi braćmi, samotnie przemierza świat i jest absolutnie niejednoznaczny, „daje wyraz wszelkiej irytacji, wszelkiemu niezadowoleniu, wszelkiemu nieprzystosowaniu - krótko mówiąc, całemu negatywnemu nastawieniu i frustracji społeczeństwa (...)”. W europejskiej literaturze echa tricksterskie pojawiają się choćby w postaci Dyla Sowiźdrzała, bohatera niemieckich opowieści spisanych od XVI wieku (miał on nawet swój gdański epizod) i w całym nurcie literatury sowiźdrzałskiej, wydawanej w XVI i XVII wieku, w powieściach łotrzykowskich, historiach Lisa Przechery, spisanych choćby przez Goethego, czy w osobie Feliksa Krulla, wykreowanego przez Tomasza Manna.

Czymś zupełnie innym jest jednak to, co dla anarchoindywidualizmu może być niewyczerpaną skarbnicą analityczną, wypracowaną przez Michela Foucaulta w badaniach nad teoriami władzy, społecznych instrumentów dyscyplinujących i technikach siebie. To co (z pożytkiem dla indywiduizmu anar-